№ 38.

WARSZAWA, DNIA 19 WRZEŚNIA 1863 R.

TYGODNIK MÓD



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

Od Redakcji.

Z dniem 1 Października b. r. skończy się prenumerata na trzeci kwartał *Tygodnika Mód,* który pod temi samemi warunkami, co i dotąd wychodzić będzie i w czwartym kwartale. Dla uniknienia zwłoki w odbiorze raczą Szanowni Prenumeratorowie składać wcześnie przedpłatę we właściwych księgarniach i kantorach pism perjodycznych.

Chociaż regularne odbieranie pisma naszego, wyłącznie od ekspedycji pocztowéj zależy, wszelkie jednak zażalenia wyniknąć mogące z tego tytułu, z jak największym pośpiechem starać się będziemy załatwiać. W wypadku więc nie dojścia których numerów, raczą Szanowni Prenumeratorowie udawać się wprost do Zarządu poczt adresując: Do Ekspedycji Gazet w Królestwie, na papierze bez stempla i bez opłaty portorji. Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama, a mianowicie: — *w Warszawie* kwartalnie złp. 10 (rs. 1 kop. 50); półrocznie złp. 20 (rs. 3); rocznie złp. 40 (rs. 6). *Na Prowincji,* rocznie złp. 50 (rs. 7 kop. 50); półrocznie złp. 25 (rs. 3 kop. 75). — *W Cesarstwie i Królestwie,* z dopłatą kopert pocztowych, rocznie złp. 63 gr. 10 (rs. 9 kop. 50); półrocznie złp. 31 gr. 20 (rs. 4 kop. 75).

POGAŃSKIE HORDY

I

MIECZ JANA SOBIESKIEGO.

Dalszy ciąg.

Jak wielką tworzy siłę wiara w Opatrzność Boga, najlepszy daje dowód szczupły obóz Sobieskiego pod Podhajcami. Gdy całe jego wojsko zaledwie wynosiło 12,000, i z tego część rozdrobnioną na mniejsze oddziały miała działać po za obozem, Tatarzy w liczbie 80,000 wtargnęli na Podole w większym jak zwykle porządku. Turek przydał im 3,000 janczarów, dział polowych 12, różne sprzęty wojenne i muzykę, czego dotąd dzicz ta nie używała. Do sił tych i tak znakomitych mogących całą Polskę, upadłą zupełnie na duchu, przebiedz bezkarnie ogniem i mieczem, Doroszenko herszt kozaków, dołączył 24,000 swego motłochu, chciwego nie tyle boju, ile gwałtów, rzezi i rabunku. Przeszło więc sto tysięcy najsroższych rabusiów zagrażało krajowi, którego całą obronę stanowiła owa dwunasto tysięczna garstka wojowników pod wodzą Sobieskiego, napróżno spodziewającego się pomocy od króla, jakiéj skutkiem niesnasek domowych, nie można było na narodzie wyżebrać. Jakoś to będzie, mówiono sobie, Bóg wesprze ramię Sobieskiego, a Rzeczpospolita nie w takich znajdowała się opałach, a przecież zawsze z nich wydobyła się z tryumfem. Więc i teraz Hetmana w kaszy nie zjedzą, tatarstwo to czerń, reszta hajdamaki, pospolite zatém ruszenie, to wstyd dla nas a dla pogaństwa otucha. Jeszcze nie ma się czego śpieszyć, a jeżeli gwałt wypadnie, to wtedy nie polenimy się, bo wojenka nie obczyzna dla nas, pójdziemy wszyscy a teraz siedzieć w domu, i chwalić Boga. Kiedy tak rozprawiano w kraju, Sobieski gotował się do zaciętego boju. Zamykając się w okopach kazał wystąpić swoim i wystawił im w krótkich słowach, iż tylko dwie rzeczy dla nich zostają, umrzeć albo zwyciężyć, a wlawszy w nich ducha męztwa, który go ożywiał, i nadzieję zwycięztwa, jeżeli wszelkie w nim położą zaufanie, czekał spokojnie dalszych losów tak nierównéj walki.

Wojsko ożywione moralnym wpływem wodza, z całą gorliwością oddało się pełnieniu wydawanych sobie rozkazów, i kiedy w obozie polskim co rano i wieczór, rozlegały się pobożne śpiewy obrońców całego chrześcijaństwa, pomiędzy tatarstwem z przeraźliwym wrzaskiem huczały bębny mosiężne i długie nakształt trąb piszczałki, czyniąc wrzawę uszom tylko dziczy przyjemną.

Po pierwszéj utarczce, pogaństwo pragnąc co prędzéj znieść hufce Sobieskiego, aby już bez przeszkody zalać całą Polskę, wyprawiło posłów do niego z wezwaniem poddania się. Sobieski odrzucił z pogardą zrobione przedstawienie a wierząc w Opatrzność Bożą wspierającą zawsze mężnych i poświęconych, dodał w odpowiedzi przestrogę, aby nikczemni wrogowie na wielkiem mieli się baczeniu, albowiem klęska czeka ich niezawodna, jako zbyt zaufanych w swą siłę i liczbę. Widząc pogaństwo mężnego Jana nieulęknionym, a pragnąc jedyną tamę przyszłych zdobyczy co prędzéj usunąć, natychmiast ruszyło do szturmu, pewne rychłego zwycięztwa nad garstką polskich wojowników.

Ozwały się więc działa i wystrzały ręcznéj broni, chmury strzał tatarskich zaciemniając promienie słoneczne, ze świstem i szumem zaczęły przebiegać po nad obozem polskim, ale Sobieski tak wszystko przezornie urządził, tak się wybornie przygotował do odporu, że zadziwił nawet samego nieprzyjaciela i przekonał, że w każdym razie walka będzie bardzo krwawą, a zwycięztwo niezmiernie wątpliwe. Po długiéj nareszcie utarczce, przyszło do boju z bliska pierś o pierś z pałaszem w ręku; naówczas nasi jak gdyby oddychali właściwym sobie żywiołem, siłą i zręcznością wyrównali liczbie nieprzyjaciela, który nie mogąc wytrzymać dzielnéj obrony, ustąpił z miejsca usławszy trupem pobojowisko. Z naszéj strony rachowano stratę przeszło czterystu w zabitych, a chociaż trupy nieprzyjacielskie przenosiły liczbę dwóch tysięcy, w porównaniu jednak ilości obu stron walczących, znakomitsza była strata ze strony hetmana. Rozprawa ta jednak tak krwawa dodała odwagi naszym, a niezmiernie osłabiła zapał i pewność barbarzyńców, tak dalece, że nie śmiano już więcéj ponawiać napaści, tylko postanowiono obóz polski trzymać w oblężeniu, bronić do niego dowozu żywności, i znosić pojedyncze oddziały polskie, wyprawiane w pole z obozu.

Mimo tego Sobieski nie tracił nadziei ocalenia, krzątał się z całym zapałem mężnego wojownika około obozowego porządku, pewny, że zatrzymując nieprzyjaciela pod Podhajcami, da czas królowi Janowi Kazimierzowi do nakazania pospolitego ruszenia i wystąpienia przeciw nieprzyjacielowi. Ale próżne to było spodziewanie się, duch narodu znużony ciągłym bojem, otrętwiał z bólu i cierpienia, kłótnie i niesnaski domowe zastąpiły konie-

czność przygotowania obrony, i Sobieskiego zostawiono samemu sobie, jego genjuszowi wojennemu i opiece dobrotliwego Boga. Rozpoczęło się zatém oblężenie ciężkie, utrudzające i niezmiernie dla polskich zastępów niebezpieczne, w którém każdy kęs chleba płacony był krwią mężnych wojowników, coraz bardziéj uszczuplających się w liczbie i napróżno wyczekujących od króla odsieczy.

W pośród tych trudów i niemal już rozpaczliwego położenia, nadszedł nareszcie siedemnasty dzień oblężenia Podhajec, dzień pamiętny 15 Października 1667 roku. Lud okoliczny sprzykrzywszy sobie ucisk tatarów, a przejęty zdumieniem nad męztwem i obroną Sobieskiego zbiegł się zbrojno do obozu hetmana, pragnąc należyć do walki. Widząc to ciury i luźna służba, zgromadziła się także około wodza, oświadczając gotowość swą do współudziału w mającym nastąpić boju, aby tylko chciał ich uszykować i poprowadzić na nieprzyjaciela. Sobieski przejęty rozrzewnieniem na ten objaw miłości kraju, przyjął chętnie nowych tych wojowników, uszykował, wyznaczył miejsce w szeregach i podwoiwszy tym sposobem szczupłe swe siły, przerzedzone znacznie ciągłemi przez kilkanascie dni prowadzonemi utarczkami, postanowił w dniu 15 Października stoczyć ostateczny bój, i albo wnim poledz z chwałą, albo zgnieść na miazgę nieprzyjaciela. Wprzódy jednak zaniósł modły do Pana Zastępów, wojownicy padli na kolana zanosząc cichą modlitwę, a gdy kapłan udzielał ostatnie błogosławieństwo, obnażone głowy z chełmów obrońców chrześcijaństwa nachyliły się kornie ku saméj ziemi, aby w skruszeniu ducha, przyjąć ten chrzest na śmierć lub zwycięztwo. Po ukończoném nabożeństwie Sobieski z garstką walecznych opuścił warowne miasteczko, uszykował do boju i przemówił potężném swém słowem do śmiałych wojowników, obiecując pewne zwycięztwo, jeżeli nie stracą ufności w Opatrzność Boską i we własne męztwo, I rzeczywiście Opatrzność czuwała nad biednym narodem, między bowiem nieprzyjacielem znużonym kilkunastodniowém oblężeniem, zakradły się niesnaski; tatarzy podejrzewali kozaków o zdradę i odstępstwo, kozacy nawzajem nie dowierzali tatarom, dość że chociaż nieprzyjaciel znacznie przewyższał liczbą polskie siły, ale był niższy mocą i jednością ducha, która prawie jedynie rozstrzyga zwycięztwo. Nadto Sobieski miał pewną nadzieję, że jazda polska oddzielona od obozu, na co tak przed zamknięciem się w Podhajcach ogólnie szemrano, według umowy stanie w chwili oznaczonéj na polu bitwy i uderzy z tyłu na nieprzyjaciela.

Uszykowawszy więc wojsko, Sobieski przyjrzał się szeregom nieprzyjacielskim i wydał hasło do boju. Zawrzały surmy i trąby wojenne, buchnęły strzały z kłębami dymu, a ziemia zadrżała pod stopami szeregów polskich niby jękiem podziemnym wojowników z przeszłości, poległych w obronie chrześcijaństwa i całego europejskiego zachodu. Nieprzyjaciel nie wytrzymał tak dzielnego natarcia, zaczął się mieszać, łamać, a gdy z drugiéj strony pokazała się owa spodziewana przez Sobieskiego jazda polska, sądząc że jest otoczonym przez posiłki króla Kazimierza, których się najbardziéj obawiał i na pewne spodziewał, poszedł w najzupełniejszą rozsypkę, a bohaterski hetman z garstką swych wojowników, zamiast śmierci znalazł walne i stanowcze zwycięztwo. Wojna więc ukończoną została, ale do tego przyczyniły się jeszcze ważniejsze okoliczności.

Ukraina w owym czasie co do uległości Polsce podzieloną była na dwa przeciwne obozy. Doroszeńko znajdujący się pod Podhajcami, mamił lud wystawiając srogość władzy polskiéj i nakłaniał do poddania się opiece tureckiéj. Sierko zaś nieubłagany nieprzyjaciel tatarów, wystawiając szkodliwość opieki bisurmana, dla religji, świętych obrzędów i swobody, nakłaniał go ku sobie, i zapalał nienawiścią ku stronnikom Doroszeńki. Korzystając więc z nieobecności swego przeciwuika, walczącego razem z tatarstwem pod Podhajcami, i zobaczywszy, że wszystka prawie dzicz wysypała się w granice polskie, zwołał lud na szawrańskie pola, i według Kochowskiego w następujący sposób do niego przemówił:

— „Nie tak bardzo sprzyjam ja Polakom, abym rad ocalić srogich naszych nieprzyjaciół, ale z dwojga złego mniejsze obierając, tego bardziéj poczytać należy za nieprzyjaciela, który krew naszą toczy i odbiera życie, niż tego który na rzecz tylko nastaje. Oto wsie ukraińskie i pomieszkania nasze, pochłania ustawiczna pożoga, wzniecona ręką tatarów. Jedni dziećmi i żonami naszemi napełniają podobne do jatek więzienia. Inni jeńców wystawiają na przedaż, żony z niemowlęty zabierają w niewolą, utopiwszy wprzód w karku mężów swe zbójeckie żelaza. Tych wytępiać i na tych zbójców chrześcjaństwa wymierzać nasz oręż, za rzecz słuszną poczytam. A jeżeli strata żon, dzieci i domów naszych, nie tak nas mocno obchodzi, przynajmniéj za wiarę i cześć prawego Boga, którą ci poganie zniszczyć usiłują, tak iż gęstsze świątynie w puszczach arabskich, niż u nas widzieć się dają, okażmy naszą gorliwość. Idźcież więc jeżeli jeszcze mężami jesteście za przewodnictwem mojém do Krymu, który nie mając teraz żadnéj

obrony, oprzéć się nam nam nie potrafi i użyjcie sposobności czasu, aby się zemścić do syta."

Mowa ta na ludzie pochopnym zarówno do zemsty jak i obłowu, niezmierne zrobiła wrażenie. Wykrzyknięto hura! na część ojca atamana i natychmiast około dwudziestu tysięcy ochotników uzbrojonych, stanęło gotowych do wyprawy, poddając się chętnie pod jego dowództwo. Nie Sierko jednak lud ten zbrojny poprowadził w tatarskie kryjówki, z przyczyny bowiem nagłéj słabości, dowództwo musiał zdać Iwaszkowi wysłużonemu setnikowi, który nie namyślając się i chwili, wpada nagle do Krymu, pustoszy tę jaskinię zbójecką ogniem i mieczem, wycina ludność bez względu na płeć i wiek, i zabiera wszystko zagrabione od dawna na Ukrainie przez krwiożerczych barbarzyńców. Krym więc jednym zajął się płomieniem, pola ubarwiły się krwią dziczy szczodrze ręką kozaczą wytoczoną, odebrano bydło popędzone z Ukrainy w tatarskie stepy, spalono Perekop; co nie zabito z ludności, to rozpędzono w leśne kryjówki, i taką trwogą napełniono Krym cały, że nawet sam Han nie czując się bezpiecznym, umknął śpiesznie ze stolicy. Iwaszko jak huragan przeleciawszy, syty zemsty i bogatéj zdobyczy, stanowiącéj zaledwie setną część grabieży, popełnianych odwiecznie w ziemiach polskich, powrócił spiesznie do kraju, lękając się odwrotu tatarów z Polski.

Jak tylko wieść o tym napadzie doszła do nieprzyjaciela pod Podhajcami, rozdwojenie między Doroszeńkiem i Tatarami, groźniejsze zaczęło przybierać rozmiary. Kozaków zaczęto coraz więcéj podejrzywać o zdradę, a nawet grozić zemstą, tak dalece, że co chwila obawiano się zbrojnéj na kozactwo napaści. Swieża więc klęska zadana mieczem Sobieskiego i napaść na Krym Iwaszki zdeklarowały ukończenie wojny.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Paryż przed wieloma innemi wielkiemi i małemi miastami tę ma niezaprzeczoną, sam nie wiem, czy zaletę? czy wadę? że obok olbrzymich wypadków, które nim do dna wstrząsają, którym wnet może naznaczono całego świata postać przemienić, zajmują go niemal na równi, niekiedy więcéj nawet jeszcze, drobniutkie fakta, ploteczki, procesa, dowcipne oszustwa, a najbardziéj dramatyczne w swych perypetyach najrozmaitszego rodzaju straszliwe zbrodnie, na samo opowiadanie których włos na głowie się jeży. Paryż pod tym względem zupełnie np. różni się od Londynu, którego cała fizyognomia przesiąkła owym charakterem poważnie kupieckim i pieniężnym, którego wszystkie sprawy, choćby z pozoru polityczne, naukowe, literackie, ba nawet moralne i religijne, mają swój początek lub ujście (a najczęściéj i jedno i drugie) w którejkolwiek z tak nazwanych *konjunktur* handlowych i fabrycznych. Paryżanin, cale odmienny w tém od chciwego szterlingów Londyńczyka, przede wszystkiém chciwy jest nowości; czy tam one zabawne, czy smutne, z góry można być pewnym, że go ubawią, w każdym zaś razie, że je stugębna fama rozniesie, upstrzy, upoetyzuje, tak iż w końcu z podobnych, najpospolitszych choćby wydarzeń urosną wcale wdzięczne przedmioty dla korrespondentów obcych pism zagranicznych, których redaktorowie jak np. Ty, raczą włożyć ten obowiązek na takich jak np. ja podróżnych pacientów, którzy pod łagodniejszém niebem południa przychodzą szukać zupełnego po ciężkiéj niemocy wydobrzenia.

Jeżelim dobrze zrozumiał znaczenie i dążność korrespondencji paryzkich w *Tygodniku*, a bardziéj jeszcze Twoje, przezacny redaktorze, instrukcje, tedy głównie chodzi w nich o to, by w urywanych na traf nieraz losu szczegółach z życia wielkiéj stolicy świata, wykazywać delikatne owe częstokroć odcienia, któremi ludzkość, pomimo wszelkiego zepsucia wieku, utrzymuje się jednak jeszcze na godnéj siebie wysokości. Na odwrotnéj stronie czarnych *Tajemnic Paryża*, do których *faits divers* po wszystkich kolejnych Gazetach codziennie straszliwego dostarczają materjału, żyje drugi Paryż świetlisty, ruchliwy wprawdzie, lecz miłujący co szlachetne i piękne, Paryż pracowity i poświęcający się, Paryż myśli i nauki, serca i cnoty. Otóż ja zawsze bywałem zwolennikiem owéj metody, która mając na przykładach czynu oprzéć prawdy moralne i społeczne, woli szukać wzorów dobrego niż złego, i wskazywać raczéj szczyt na który piąć się, niżeli przepaść, którą omijać należy. Spodziewam się przytém, że nie zechcesz, kochany Redaktorze, poczytać mi za złe, gdy korzystając z mojego pobytu w stolicy Europy, innych także narodów i krajów europejskich objawom od czasu do czasu w sprawozdaniach moich krótkiego miejsca ustąpię.

Zacznę dziś od ciekawego procesu, rozsądzonego temi dniami w trybunale pierwszéj instancji departamentu Sekwany, który dla dwóch głównie powodów zajmował publiczność paryzką: raz że jedną w nim stroną, a nawet powódką, była Wiktorja, królowa angielska, powtóre, że podniesiona ta kwestja opierała się nietyle na kodexie Napole-

ońskim, ile na prawie publiczném i międzynarodowém. Zmarła przed niedawnym czasem w tutejszém mieście hrabina de Silly, rodem z Londynu, zapisując testamentem własnoręcznym, znaczny swój majątek trzem krewnym, legat w ilości 100,000 franków przeznaczyła dla królowéj Wielkiéj Brytanji. z prośbą, iżby tę summę rozdać raczyła pomiędzy ubogich swéj stolicy. Spadkobiercy, będący zarazem exekutorami testamentu, widząc że legat został przyjęty przez królowę, wzbraniają się takowy wypłacić do rąk posła angielskiego, lorda Cowley i żądają albo osobistego stawienia się monarchini przed notarjuszem, albo prawnéj i poświadczonéj z własnoręczności podpisu plenipotencji na rzecz ambasadora. Królowa Wielkiéj Brytanji i Irlandji, w kancellarji regenta paryzkiego! rzecz niepodobna! albo podpis: *Victoria R* (Regina) poświadczony przez jakiegoś tam attorneja! rzecz również niemożliwa! Wzięto się zatém na sposób i p. Freitt, znany tutejszy adwokat, pozwawszy w imieniu królowéj exekutorów testamentu, zażądał od rządu uznania, że ambasador uwierzytelniony w jakim kraju, zastępuje najzupełniéj i we wszystkiem monarchę którego reprezentuje, czyli, właściwiéj mówiąc, że sam jest owym monarchą, a więc bez plenipotencji w jego imieniu bezpiecznie może odbierać pieniądze i kwitować. Obrońca strony przeciwnéj wprawdzie dowodził, że ambassador reprezuntuje rząd, nie osobę, lecz trybunał innego był zdania i w skutek jego wyroku właśnie onegdaj nastąpiła wypłata na ręce mimowolnie tym sposobem *zniewieściałego* lorda Cowley.

— Starożytnicy francuzcy mogą się obecnie pochlubić odkryciem, które, jeżeli nie materjalną donośnością, tedy przynajmniéj marzeniem naukowém godne jest stanąć obok nowych wykopalisk w Pompeji, o których niedawno wspomniał mój poprzednik w korrespondencjach z Paryża. W wiosce Vieil, niedaleko Noirmontier, leżą zwaliska starożytnego kościoła, pod wezwaniem S. Hilarego, którego budowę odnoszą do VIII wieku naszéj ery. Czterech uczonych postanowiło zbadać to miejsce, a spodziewali się tylko natrafić na fundamenta, oraz na cmentarz z tejże epoki. Tymczasem po pierwszém zaraz działaniu rydła napotkano znaczną ilość cegieł i wydrążonych dachówek, palów, wielką kadź powleczoną cementem rzymskim, mury na których znać szczątki dawnych malowideł, długie rury. amfory, wyroby garncarskie, rogi jelenie, kły dzikow, słowem, odkopano w całości okazały gmach gallo-rzymski, którego pierwotne przeznaczenie dotąd jeszcze nie jest odgadnionem. Zupełnie oryginalna iego budowa nie dozwala przypuszczać iżby to były thermy (łazienki).

— Od kilkunastu dni ukazał się na bulwarach paryzkich nowy rodzaj omnibusów, zwanych *bitrycyklami* (bitricycles), jednokonnych, a mogących pomieścić aż pięćdziesiąt dwie osób! Powozy te, o sześciu kołach, z których trzy z przodu, a trzy z tyłu, przeznaczone są na wielkie przestrzenie, dla których dzisiejsza liczba omnibusów, a zwłaszcza dotychczasowa ich wielkość, okazała się niedostateczną. Powiększono ilość i długość ulic; nic też logiczniejszego nad to, że pomyślano obecnie o pomnożeniu i rozprzestrzenieniu omnibusów. Lekkość ich budowy, obok największéj kształtności. rzeczywiście zadziwiająca, czego zresztą dowodzi już ta okoliczność, że jeden rosły rumak normandzki z łatwością daje radę takiemu pułkowi passażerów.

Paryż, d. 7 Września,

*

---

*
* *

Uniesiony pychą literacką, i obowiązkami tygodniowego z Wami gawędziarza, miałem zamiar, po kilkotygodniowéj nieobecności, wystąpić z szumném usprawiedliwieniem swego nagłego zniknięcia z kolumn Tygodnika mód, pewnym będąc, że Was to trapi, niepokoi a nawet niecierpliwi. Ale na szczęście obawa była próżną, brak nieciekawéj pogadanki choć w ciekawych pisanéj czasach, jakoś przemknął się tak ślicznie i gładko, że ani jedne usta nie wyrzekły skargi, ani jedno pióro nie skrzypnęło po papierze, z lamentem lub narzekaniem, ani wreszcie nie podniósł się choćby jeden paluszek z ponętną a tak pożądaną dla mnie pogrożką. Rozczulony takiemi dowodami pamięci, a pamiętając owe błogie czasy, kiedy to lada pismak, lada jaka redaktorska mość, nie opuścił Warszawy, choćby w wycieczce na raki pragskich jadłodawców, żeby gazety nie roztrąbiły tego ważnego dla kraju faktu, wśliznąwszy się do Warszawy jak ptaszek do klatki, chciałem z ferworem i tartasem, użyć całéj potęgi kałamarza, aby Wam wygadać się gorzko i piołunowo...... ale ujrzawszy zacnych i kochanych Warszawiaków, ferwor schowałem w najgłębszą kryjówkę mego serca, a z tartasem obejrzałem się i umilkłem.

Jeden z nich, ma się rozumiéć Warszawiaków, poczciwa dusza, jakich na szczęście nie brak międzynami, ujrzawszy mnie rozdrażnionego i zgorącz-

kowanego, uśmiechnął się z czułością i zatopiwszy wzrok w błękit nieba zasypany miljonami niebieskich świateł, patrzył w milczeniu, jakby szukał gwiazdki powszedniéj swego życia, lub badał wypadku astrologicznych postrzeżeń, uznanych przez mędrców przeszłości za pewniki.

— „Wojtusiu, odezwałem się po chwili milczenia, cóż tam tak wypatrujesz ciekawie?

Ale Wojtuś milczał, ściskając mi rękę machinalbie i ciągle patrzył w niebo z jedném zajęciem. Powtórzyłem więc pytanie raz, drugi i trzeci, i przecieć przywróciłem go do przytomności. Poruszył się szybko i jakby nagle przebudzony ze snu, zapytał:

— „Co mówisz?"

— „Pytam się, odrzekłem, co tak wypatrujesz w niebieskich przestworach."

— „A! mruknął zapytany, wypatruję planety Marsa, który według najświeższych postrzeżeń, dopełnionych przez p. Fillips professora w Oxfordzie a przedstawionych londyńskiemu towarzystwu, ma jak ziemia nasza, posiadać atmosferę, pory roku a więc i mieszkańców, może od nas troszkę monstrualniejszych, ale zawsze równych jak my samolubów, i zarozumialców. Przewyższać nas tylko muszą znakomicic lenistwem, bo Mars choć osiem razy mniejszy od naszéj ziemi, tak jednak leniwie kręci się i posuwa, że dwóch lat potrzebuje na obieżenie drogi około słońca, a 24 godzin i minut 37 na obrócenie się około własnéj osi. Przytém mieszkańcy Marsa przenoszą nas zapewne i chłodem serca, jakiego świat cały tak chlubnie ciągle stara się dawać dowody, bo temperaturę posiada dwa razy chłodniejszą od naszéj. Nadto professor Fillips przy biegunach dostrzegł lody, a w pasie równikowym szeroką zieleniejącą przestrzeń, z głębokiemi zatokami i wgłębieniami, świadczących niewątpliwie o bogatéj roślinności i znacznych przestrzeniach wody."

— „Więc tedy.... do czegóż to wszystko prowadzi? zapytałem troszkę niecierpliwie."

— „A nic, tak sobie, odrzekł Wojtuś, przecież to zawsze rzecz ciekawa, co się dzieje na Marsie."

Poruszyłem ramionami i wyciągnąłem rękę z pożegnaniem.

— „Chcesz zapewne wiedzieć, co się u nas dzieje? odezwał się Wojtuś nie przyjmując podanéj ręki."

— A naturalnie, odrzekłem, z ziemią tyle jest kłopotu, że się prawie życie przykrzy, a ty prawisz mi o Marsie."

— „Więc posłuchaj. U nas zaszły ważne reformy. W Wiśle ochłodła woda i zmniejszyła się znacznie liczba kąpiących. Owoce zagraniczne prawie z targów wygnały krajowe. Saski ogród zżółkł i przyczerniał zasypując się zeschłym liściem. Gazety znudniały nadstawiając się powieściami. Latarnicy znikli z ulicznych rogów Warszawy. Most nowy rośnie na Wiśle jak kieszonkowe długi Warszawiaków. Rzemieślnicy siedzą z założonemi rękami. Kupcy smucą się. Księgarze próżnują, prassy drukarskie milczą, zamiejskie ogródki płaczą, a tylko Foksal i nowa Szwajcarja, cieszą się napływem niezwyczajnych dla siebie gości. Przytém przemysł robi niemierne postępy i tworzy coraz nowsze kombinacje. Parę lat temu jak się rozbrykał, tak wszystek chmiel krajowéj produkcji wywiózł za granicę, biorąc za funt coś około trzech złotych. Gdy go brakło, chmiel ten sam ściągnięto do kraju, i za funt zapłacono trzy złote drożéj czyli podwójnie jak przedano. Teraz przemysłowcy zabierają się do nowéj kombinacji, a uznawszy, że lud nasz jes nietrwały i przy końcu Sierpnia niknie z lochów jak kamfora, mają założyć spółkę do sprowadzania zagranicznego lodu, obiecując równie pewne i znakomite zyski, jak na chmielu. Znałem damę, która nie używała innéj bielizny tylko pranéj w Paryżu, dlaczegóżby i chłodzące napoje nie miały lepiéj smakować zamrożone we francuzkim lub angielskim lodzie, niż w naszych ordynaryjnych, nie ucywilizowanych lodowniach? Kombinacja ta nowa, która jednych zdumi, drugich odurzy, trzecich..?"

— „Ach! dajże pokój, przerwałem, i z kombinacjami i podobną rachunkowością. Mnie trzeba nie brzęku słów próżnych....."

— „Rozumiem, odezwał się Wojtuś, nawzajem mi przerywając, chcesz coś się dowiedzieć o kompasie nowo postawionym w ogrodzie Saskim, z funduszu zostawionego na ten cel testamentem, przez ś. p. Magiera, nb. lat temu już 26. Otóż zacny to był staruszek znała go powszechnie Warszawa, a miary do wódek i spirytusów noszące techniczne miano próby Magiera, nazwisko jego na zawsze utrwaliły w pamięci ludzkiéj. Będąc professorem w b. Liceum Warszawskiem fizyki i astronomji, w domu własnym przy ulicy Piwnéj, N. 95, przez lat 25 wystawiał w oknie stopnie zimna i ciepła, a starzy mieszczanie i przekupki Starego miasta, dziwiły się zawsze, jakim sposobem Magier może wiedzieć, wiele Bóg dał stopni mrozu lub gorąca? Bliscy zaś sąsiedzi, patrząc ciekawie na wysoką a chudą figurę ś. p. Magiera, ile razy go spostrzegli idąecgo w czas pogodny z parasolem w ręku, zawsze byli pewni zmiany powietrza i ściśle się do tego stosowali.

Obszerniejszą wiadomość o zacnéj pamięci Magierze, możesz powziąć w szacownem dziele ba-

dacza naszéj przeszłości Kazimierza Wójcickiego, p. t. Cmentarz Powązkowski. A teraz żegnam cię nudny gawędziarzu Tygodnika mód...."

— „Do widzenia."

— „Aby jak najrzadszego."

— „Bądź spokojny, częściéj się będziemy z sobą schodzić niż sądzisz."

— „A! niechże cię......"



Przy nadchodzącéj szybkim krokiem jesieni, zaczynają znikać żaknoty i bareże, a w ich miejsce ukazują się cieplejsze wełniane wyroby. Wkrótce nadejdą do magazynów naszych świeże zapasy zimowych towarów, których nie zaniedbamy opisać w swoim czasie, dziś nadmieniemy o kilku sukniach roboty panien Kuhnke, które nam się widzieć zdarzyło.

Jedna z nich czarna z wybornego rypsu, miała spódniczkę gładką, stanik z podwójnym bawetem, spięty na guziki lawowe, przybrany podwójną drabinką z szerokiéj pasmanterji z grelotkami. Wzdłuż ramienia od góry i rękawa, przechodziły klapki szmuklerskie, czyli naramienniki. Rękawy ścięte do łokcia, wązkie, o tyle otwarte żeby ręka przejść mogła, przybrane były odpowiednio. Na okrywkę służyła rotonda takaż sama, ogarnirowana wkoło fałdowaną wstążeczką, główną jéj ozdobę, stanowiło podwójne spięcie szmuklerskie pod szyję, i takież naramienniki z grelotkami.

Inna suknia fularowa, w rzucik grecki, miała u dołu wąziuchną falbaneczką z pletni wełnianéj, a nad nią pliskę jedwabną przystębnowaną z obu stron biało. Stanik z podwójnym bawetem, spinał się na lawowe guziki. Na nim oznaczony był kaftanik grecki, czarną ruszką biało obstębnowaną. Rękawy otwarte, prawie obcisłe miały takiż sam garnirunek wkoło ręki, zawrócony przez łokieć do ramienia. Do tego szła rotonda objęta plisą czarną, spięta na pętlice szmuklerskie.

Trzecia suknia czarna popelinowa, zakończona była u dołu wązką falbaneczką ze wstążki na dwa palce. Stanik gładki do paska. miał z każdéj strony naszyte dwa ukośne kwadraty z pasmanterji, zwane *losanges*, zakończone u dołu marszczoną gipiurą na trzy palce. Na ramionach dane były takież kwadraty. Rękawy zupełnie obcisłe miały w górze buffę, przegrodzoną dwa razy w podłuż pasmanterją. Do tego dodany był krótki paletocik, ogarnirowany fałdowaną wstążeczką do koła, spięty z przodu na lawowe guziki. Na ramionach kieszeniach i mankietach u rękawów, dane były kwadraty szmuklerskie. Kołnierzyk marynarski ogarnirowany gipiurą, dopełniał ozdoby.

Uważaliśmy także bardzo ładny szlafrok negliżowy, z tartanu czarnego w białą kratę. Miał on kształt wielkiego kaftana, ścinanego po bokach, przyfałdowanego w karczek, u dołu zakończony był wolantem karbowanym z czarnego kaszmiru, szerokim na ćwierć łokcia, z wypuszczoną główką. Cały szlafrok podszyty lekkim fularkiem czarnym, otwierał się na przodzie, z obu stron dane były czarne kaszmirowe wyłogi na których z jednéj strony szły rzędem guziki szmuklerskie, z drugiéj pętelki z plecionki, do spinania. Plecy ściągały się na grube sznury szmuklerskie, przewiązane z przodu i zakończone kwastami. Mała pelerynka kwadratowa, rozchodząca z przodu, ogarnirowana falbanką, pięknie dopełniała całości, rękawy dosyć szerokie, spadające przybrane były odpowiednio.

Na okrywki jesienne używają bardzo szalów tartanowych, które układają się w rodzaju Beduiny, z kapturkiem przepiętym w tyle, spadającym na plecy. Na to szal czarny z białym szlakiem złożonym z drobnych prążek, bardzo ładnie wygląda.

W magazynie pani Klementyny, zwróciły uwagę naszą, zgrabne kapelusze jesienne z czarnego *poult de soie.*

Jeden z nich zupełnie gładki, przybrany był na rondzie skręconym grubo aksamitem z prawéj strony spadał długi koniec aksamitny, ogarnirowany koronką. Brzeg ronda objęty był rulonem aksamitnym, nad którym szła rusza z białéj i czarnéj blondyny. Karczek ogarnirowany był stosownie. Podpięcie składało się z blondynki, z czarnéj trawki i ostu. Szarfy czarne szerokie dopełniały ubrania.

Drugi kapelusz naciągany, miał na wierzchu czarną koronką upiętą w kształcie wachlarza spadającą przez rondo. Podpięcie złożone było z czarnéj i białéj blondynki, i trzech róż z czarnych piórek umieszczonych zręcznie na boku.

Trzecia kapotka bardzo skromna dla młodéj panienki, ubrana była z wierzchu pukielkami z czarnéj wstążki przepiętemi koronką. Nad czołem pomiędzy blondynką, wpięty był mały bukie-

cik z czarnych jedwabnych kwiatków i delikatnéj czarnéj trawki.

Nowości Zagraniczne.

Le moniteur de la mode. Mantyna, fular i popelina, najwięcéj noszone w téj porze. Suknie naszywają powszechnie aksamitką czarną, gładko, w zęby, albo w drabinkę. Między innemi uważaliśmy ładną suknię z popeliny popielatéj, u dołu miała falbankę z aksamitki szerokiéj na cztery palce, z główką, objętą z obu stron wązką gipiurką czarną. Stanik pod szyję z dwoma bawetami objęty był aksamitką i koronką. Rękawy otwarte z odwiniętym mankietem, odpowiedni miały garnirunek.

Inna suknia z alpagi czarnéj, składała się ze spódniczki i krótkiego paletocika. Spódniczka nad obrębem naszyta była dziesięć razy wązką aksamitką. Paletocik podobnież przybrany, na mankietach, epoletach i kieszonkach, szło stosowne naszycie.

Do sukien mantynowych, dają staniczek grecki, a pod spód kamizeleczkę aksamitną, szamerowaną pletniami.

Paletoty i rotondy jesienne, z aksamitu lub sukienka zaczynają się ukazywać.

Widzieliśmy parę ładnych ubrań dziecinnych, które tu szczegółowo podajemy.

Ubranie 8-mio letniéj dziewczynki. Spódniczka z alpagi popielatéj, u dołu falbanka naszyta w okrągłe zęby, objęta wypustką czarną. Szarfa czarna jedwabna z szelkami, przewiązana w tyle. Pod spód koszulka, półbatystowa biała, układana w drobne zakładki. Kapelusik popielaty okrągły z czarném piórkiem.

Ubranie 6-cio letniéj dziewczynki. Sukienka popelinowa, popielata, w czarną drobną kratkę, u dołu dwie takież same falbanki, z czarnym brzeżkiem. Kaftanik otwarty z falbaneczką do koła, pod spód biała pikowa kamizeleczka. Kapelusik słomkowy okrągły, objęty i przepasany aksamitką czarną.

Ubranie 3-letniego chłopczyka. Sukienka biała pikowa, naszyta czarnym sutaszem. Takaż sama kardynałka, kapelusik słomkowy z piórkiem.

Kardynałki flanelowe w kratkę powszechnie dla dzieci używane.

Opis deseni do haftu.

N. 1. i 2. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rożkami i mankiet płócienny wyszyty czarnym sutaszem albo bawełną.— N. 3. i 4. Kołnierzyk i mankiet do haftu atłaskowego.— N. 5. i 6. Kołnierzyk i mankiet płócienny haftowany czarną bawełną.— N. 7. Kołnierzyk płócienny do haftu atłaskowego.— N. 8. 13. 15. 18. i 19. Desenie do bielizny damskiéj.— N. 9, 10, 11. i 12. Połowy kołnierzyków i mankietów do haftu białego i czarnego.— N. 14. Deseń do chustki od nosa, który się haftuje nad gładkim obrębem. — N. 16. Połowa kołnierzyka.— N. 17. Mankiet odpowiedni·— N. 20. Suknia czarna jedwabna z falbaną znacznie szerszą na przednim brycie jak w tyle, naszyta pasmanterją lub aksamitką, powyżéj frendzlą sznelową i aksamitnemi szczebelkami w pośrodku. Stanik gładki. Rękawy paltotowe ubrane pliskami aksamitnemi. Kapotka czarna jedwabna marszczona, przystrojona koronką i aksamitem.— N. 21. Suknia czarna wełniana rypsowa. Stanik postyljoński z karoczkiem obszyty grelotkami jedwabnemi. Kapelusz z czarnego jedwabnego rypsu ubrany aksamitem. — N. 22. i 23. Kołnierzyk i rękawek *a la Moliére* płócienne obszyte walansienką. — N. 24. Negliżyk batystowy opasany wstążką popielatą z czarném.— N. 25. Czepek tiulowy garnirowany blondynką i ubrany wstążką. — N. 26. Wzór rękawka półbatystowego z płóciennym mankietem ogarnirowanym wązką walansienką. — N. 27. Litery S. S.— N. 23. Alfabet liter do znaczenia bielizny.

Opis kaftanika dla chłopca, i desenie do wyszycia sukni.

N. 1. Przód do kaftanika kortowego, dla małego chłopca. Deseń wyszywa się czarnym sutaszem na wszystkich częściach kaftanika.— N. 2. Boczek.— N. 3. Plecy.— N. 4. Połowa rękawa.— N. 5. Przednia część majtek z tego samego materjału co kaftanik. Boki wyszywają się sutaszem. — N. 6. Druga połowa majtek.— N. 7. Całość kaftanika z majtkami. — N. 8. Deseń do wyszycia sukni ciemno popielatéj czarnym sutaszem.— N. 9. Deseń na przednie części stanika. — N. 10. Deseń do wyszycia pleców. — N. 11. i 12. Dwie części rękawa.— N. 13. Deseń na epolet.— N. 14. Całość sukni wyszytéj sutaszem.

KORRESPONDENCJA.

Panu Malisz. w Radomyślu. Sprawunki odeszły pocztą 10 Sierpnia b. r. Wiadomości żądanéj nie możemy przesłać drogą telegraficzną, gdyż jest zepsuta.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołączają się desenie do haftu, oraz forma kaftanika dla chłopca, i desenie do wyszycia sukni.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 19 Września 1863 roku.

STARY MOTYL.

WSPOMNIENIE PRZEZ M......

(Dokończenie.)

— Co to jest? co to wszystko znaczy?

A wtenczas śmiech i brawa uspokoiły się, i postąpiwszy Marynia ku staremu motylowi, rzekła:

— Pytasz się panie Lucyanie, co to jest, co to wszystko znaczy? To ja ci powiem, to jest zemsta dziewic, wieśniaczek źle sądzonych przez Warszawiaka o malutkiem sercu i zbyt pospolitéj duszy. Dowiedziawszy się o twém nas lekceważeniu, postanowiliśmy we trzy jak nas tu pan widzisz użyć wszelkich środków do otrzymania od ciebie wyznania.....

— Jak to? więc to żart?... zapytał p. Lucyan mieszając się coraz bardziéj.

— „Nie pojmuję" odrzekła Marynia z godnością, „jak pan nawet mogłeś sądzić inaczéj? jak mogłeś myślić, żeby która z nas mogła się w panu na prawdę zakochać?

— Z pewnością, potwierdziły obie oszukane panienki, Helenka silnym spokojnym głosem, Idalka ciszéj rumieniąc się i opuszczając oczy ku ziemi.

— Ależ panie..... przychodząc już do siebie odezwał się pan Lucyan z nadzwyczaj milutkim uśmiechem. Przerwała mu jednak Marynia:

— Chwilkę cierpliwości, jeszcze tylko słów parę.

Według zdania pańskiego, kobiety, to owe pyłki powietrzne unoszące się w kierunku najlżejszego podmuchu. Otóż postanowiłyśmy przed témi pyłkami rzucić cię na kolana, aby wykazać całą twą pychę i zarozumiałość. I po kolei klęknąłeś przed każdą z nas, pokorny, ukorzony i... kłamiący.... wybacz, ale niżéj już upaść nie można...

— Brawo! brawo! odezwało się z oklaskiem całe męzkie grono, a p. Adam szepnął pół głosem do panienek:

— Zmiłujcie się panie i już mu wybaczcie....

— Panie Adamie! odrzekła Marynia są rzeczy, których nie godzi się brać za przedmiot zabawki. Do takich przyznasz, że należą wszelkie uczucia serca.....

Adam skłonił głowy, a Lucyan osądziwszy, że najlepiéj będzie chwycić się żartu, aby rozbroić weselące się panienki i wybrnąć z téj nieznośnéj dla siebie zasadzki, zdobył się na uśmiech i rzekł:

— Czuję się wzruszonym aż do głębi serca, cała katastrofa i dowcipna i niezmiernie teatralna, lepiéj was niczém ubawić nie można było, a w dzisiejszych czasach o żart tak trudno.....

To była nikczemność, przerwała pół głosem ciotka Helenki wtajemniczona do spisku, który się tak powiódł wybornie, a Lucyan udając że nie dosłyszał, zaczął deklamować z przesadą:

O! wy mściwe istoty zawzięte boginie!
Miejcie litość nad biednym, który o nią prosi,
Nie rańcie jego serca, niechże gniew wasz minie,
Choć przez wzgląd, że winny chętnie karę znosi,
Poddaje się wyrokom, choćby ciężkie były,
Spełni kielich goryczy aż do dna samego.....

— O kielich mój Lucyanie to mniejsza, przerwał Adam, ale w osobie swojéj cały rodzaj męzki naraziłeś na śmieszność, za co nie możemy być ci wdzięczni.....

— Trzy razy dostał od kosza, odezwał się jeden z mężczyzn, wsadzić mu na głowę trzy grochowe wianki.

— Zdrajco! szepnął Lucyan do Adama jak mogłeś.....

— Ani jednego słówka nie powiedziałem, odrzekł Adam, daję ci na to słowo uczciwego czło-

wieka, a ja nie zmyślam nigdy, nawet na klęczkach przy nogach kobiety.

Lucyan warknął w odpowiedzi jakieś przekleństwo francuzkie, i byłoby może przyszło do zwady, ale w téj chwili dał się słyszéć miły głosik Maryni.

— Panie Adamie! jeżeli mogę prosić o rękę w powrocie do domu....

Adam uszczęśliwiony, spojrzał z tryumfem, na Lucyana który nadrabiając miną, zbliżył się do Helenki, cóś przemówił, ale ta ze wzgardą odwróciła się od niego. Przysunął się późniéj do Idalki smutnéj, zamyślonéj, i w milczeniu postępował tuż przy niéj, nie śmiejąc nawet ust otworzyć. Helenka zupełnie zbiła go z tropu. Za powrotem, zły i gniewny, że się dał w taką chwycić łapkę, zamknął się u siebie na resztę wieczora, mówiąc, że nie wyjdzie bo cierpi ból głowy.

Nazajutrz opuścił Sworynie, klnąc się w głębi duszy, że wiele lat upłynie, nim go krakowskie będzie miało szczęście ujrzéć powtórnie. Helenka jeszcze bawiła czas jakiś w Jedłówce, nieraz więc panienki rozmawiały o p. Lucyanie, ucząc się wzajemnie, że niekażdą grzeczność mężczyzny należy brać za dowód zajęcia, i niekażde wyznanie za wpływ prawdziwego uczucia. Ciotka zaś słuchając tych rozpraw zawsze dodawała:

— Moje dzieci, z tego wypadku uczcie się, jak należy być ostrożną i baczną na siebie. Im mniéj mężczyzna śmiały, tym więcéj szanujący; im mniéj komplementujący, tym szczerszy. Miłość za nadto święte uczucie, a świat za nadto jeszcze szatański, panienka więc powinna długo namyślać się zanim wyzna, że kocha. Przytém nigdy pozoru nie bierzcie za prawdę. Pan Lucyan miły, układny w obejściu, ale strzeż nas Boże! od podobnych jemu letkiewiczów. Adam mniéj świetny w salonie, ale kobieta któréj on powie ten wyraz: *kocham*, będzie mogła być pewną, że go dla niéj tylko wysnuł ze swéj duszy.

Na tę pochwałę Marynia zarumieniła się..... pan Lucyan zaś wyrzekł się na zawsze roli starego motyla, wypadek jednak ten pozostał mu na zawsze w pamięci; jak tylko ktoś chcąc mu dokuczyć, wyrzekł:

— Mój drogi, mój miły.....!

Natychmiast p. Lucyan milknął, mięszał się, i z olbrzyma stawał się malutkiém karzełkiem. Odtąd przez szykanę zwykle zwano go drogim i miłym, a powiadają, że w Idalce podobno na prawdę zakochał się, i zobaczywszy ją w Warszawie nawet się jéj oświadczył. Idalka zarumieniła się, spuściła oczki, i oświadczyła, że przyjechała za wyprawą, bo idzie za mąż. Pan Lucyan oniemiał; i we dwa tygodnie Idalka została żoną, a p. Lucyan kawaleruje dotąd jeszcze i starannie wyskubuje.... siwe włosy, które z czupryny już przeniosły się do faworytów.

KONIEC.